



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

GŁOSY WIOSENNE.

I.

Kukułka to taka jest dusza zaklęta,
Co zgubiła szczęście, lecz gdzie? nie pamięta....
Więc lata po lesie, i lata i kuka,
Nikt nie odpowiada—bo nikt jej nie szuka!

Słowiczek to wiosny tęsknota jest młoda;
Gdy gaj zaszeleści, gdy zaszemrze woda,
To ona w ptaszynie tęsknotą się staje,
Rozbrzmiewa powietrzem i napęlnia gaje...
A ludzie nie mogą spać miesięczną nocą:
W świat-by wędrowali z dolą swą sierocą...

Skowroneczek kocha tylko ziemię starą,
Wzbija się świtanem ponad niwę jara,
Z piosenką swą leci do niebiosów proga,
I woła „Nieboga! nieboga! nieboga!“....

POGA WĘDKA.

Jakkolwiek termometr zawsze jeszcze trzyma się bliżej zera, nie można powiedzieć, ażebyśmy żyli w czasach chłodnych i nie gorącowali się w przeciwieństwie do aury. Wiosna porusza soki żywotne w całej naturze, więc i w ludziach krew szybciej krążyć zaczyna.

Co kilka dni mamy tego dowody (czasami nawet namacalne) takiego wiosennego burzenia i wrzasku... Warszawa miewa od pewnego czasu swoje skandaliczne sensacje i sensacyjne skandale, jakgdyby chciała naśladować w tym względzie wielkie stolice europejskie.

Na porządek dzienny wchodzą burdy uliczne, napaści publiczne z laską i piórem w rękę, plotki i potwarze, zabrudzające i tak niezbyt czystą kartę naszych stosunków dziennikarskich i towarzyskich tej sfery, która nadużywa tytułu inteligencji.

Są to objawy niezdrowe i niemoralne. Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły i rozmyślać tych spraw, które plamią samem dotknięciem i zasługują na potępienie najpobłażliwszych.

Do czego doprowadziliśmy?... do czego jeszcze dojdziemy, jeżeli tak dalej wolno będzie poniewierać wszystkim, co powinno pozostać nietykalnym?...

Dzisiaj nie przebiera się już w środkach, nie zastanawia nad tem, co przystoi, a co nie; nie szanuje się nikogo, nawet swojej własnej godności i honoru, nie przyjmuje odpowiedzialności za siebie i bezkarnie narusza prawa zwyczajowe w społeczeństwach i towarzystwach cywilizowanych.

Co najgorsza, że ten areopag, w którego oczach odbywają się gorszące sceny, zatracca coraz bardziej poczucie sprawiedliwej miary, oswaja się ze złem, nie umie sądzić i bez oburzenia przyjmuje fakta, które go więcej bawią, niż gorszą i zasmucają. Ta publiczność całkiem biernie zachowuje się po większej części wobec nadużyć, jakie piórem i pięścią dzieją się teraz u nas; śmieje się ze skandalu faktycznego, czy drukowanego, nie rozumiejąc, że ten śmiech, ten indyferentyzm jej samej ubliża. Biją kogo, napadają, szkalują: ona nie kieruje się zdrowym instynktem słuszności, nie zastanawia nad istotą rzeczy, ale daje się pociągnąć w tę stronę, która jej na razie zaimponuje.

Byłoby to bardzo zabawnem widowiskiem, gdyby nie było tak smutnem i upokarzającym...

Prasa nasza umiała zachowywać swą godność, rozumiała swoje powołanie i stanowisko, gdy na czele jej stawali prawdziwi przewodnicy opinii publicznej, ludzie, nietylko z talentem, ale i z obywatelskim charakterem, który był najważniejszą rękojmią i najlepszym tytułem do zaufania ogółu; obok nich kupili się współpracownicy poważni, wytrawni, doświadczeni, współpracownicy pisma i idei, nie najemnicy od wiersza, nie kondotyerzy do podjazdowej walki, zwerbowani na wszystko i na każdego, byle im za to zapłacono.

Było inaczej i lepiej; zawód pisarza i dziennikarza był zaszczytem: a dzisiaj—smutno to wyznać—coraz mniej w nowych stosunkach ma się ochoty pracować w tym zawodzie.

Tyle honoru jeszcze, ile go broni i strzeże stara gwardya, ile go reprezentuje garstka weteranów naszej prassy.

Prywata i drobiazgowość kierują coraz częściej piórem piszących, coraz więcej mamy „dokładnych doradców opinii publicznej“, którzy wicherzą i spekulują we własnym interesie kieszeni, ambicyi lub namiętności swoich.

Przykro o tem mówić i pisać, ale wreszcie cierpliwości braknie, aby tego niechlujstwa dziennikarskiego i literackiego nie wskazać i nie napiętnować. Na ludziach, którzy nie chcą się mieszać z tą nową falangą i widzą jej szkodliwe wpływy, tem większy ciężar obowiązek ratowania resztek powagi i honoru naszego dziennikarstwa na tej niebezpiecznej pochyłości, na jaką ją spowodować usiłują dzisiejsi bohaterowie skandalu i ulicy.

Feljetonista *Frawdy* głosi za utworzeniem syndykatu, któryby rozstrzygał spory i załatwiał sprawy prywatnie, czuwając nad godnością i przyzwoitością stosunków w naszej prassie; nigdy projekt ten nie był potrzebniejszym i nie odezwał się we właściwszej porze, niż obecnie. Nie powinniśmy też przebrzmieć bez echa i dziwić się, dlaczego dotąd nikt nie powtórzył tego rozumnego głosu i nie skorzystał z danej inicjatywy.

Może być, że zagłuszyły go... ważniejsze kwestyjki, któremi zajmujemy się od kilku dni z namietnością i przejęciem, godnem lepszej sprawy.

Czy słyszeliście, że nam chcą okroić Ogród Saski, że letni salon Warszawy zmniejszy się chęć do rozmiarów jakiegoś mieszczańskiego budoaru, iż p. Lindley podał wniosek przedłużenia ulicy Marszałkowskiej do Żabiej i przeprowadzenia tędy jednego z głównych kanałów miejskich.

To dziwna, iż p. Lindleyowi ten pomysł przyszedł do głowy dopiero teraz, kiedy kanalizacja według planów przygotowanych uprzednio, wykonana została już w połowie; mniejsza jednak o to: genialne natchnienia spaźniają się także dość często.

Pomysł p. Lindleya nie należy do genialnych; dla czego właśnie przyszła mu ochota przecinać ulicą Ogród Saski, i to nie w kierunku praktycznym ku ulicy Niecałej, ale ku Żabiej, na którą dość łatwo w danych warunkach dostać się można przez Królewską, dlaczego nagle zamierza „popęłnić wandalizm,” niszcząc ozdobę miasta i uszczuplając jedyny zbiornik świeżego powietrza w samem centrum Warszawy—trudno odgadnąć.

Z winy zbyt pochopnej w rozsiewaniu sensacyjnych pogłosek reporteryi, opinia nasza zaalarmowana została trochę przedwczesnie wiadomościami, które potrzebowały niejakiego sprostowania i wyjaśnienia.

Kommissya wyznaczona do zbadania projektu w pierwszej chwili oświadczyła się podobno większością głosów za wnioskiem p. Lindley'a, ale, gdy powstał krzyk opozycji w mieście, zaczęła się cofać, utrzymując, iż nie miałyby nic do zarzucenia projektowi, oile dotyczy przeprowadzenia kanalizacyi przez ogród, i od przecięcia ogrodu odstąpiła, pozostawiając tę sprawę przyszłości.

Zdaje się tedy, że z wielkiej chmury spadnie mały deszczyk, ogród pozostanie nietkniętym, wandalizm nie będzie, giełda i instytut wód mineralnych wraz z Żelazną Bramą pozostaną na swoim miejscu i wszystko wróci do porządku, do *status quo ante*.

W ostatnich czasach widocznie jakiś duch destrukcyjny powiał po Warszawie, bo kiedy jedni myśleli o amputacyi ogrodu Saskiego, drudzy, nie namyślając się długo, wykroili z gmachu Towarzystwa Dobroczynności stary, sympatyczny, zasłużony tradycją lat około dziewięćdziesięciu teatrzyk, który był skarbonką Melpomeny dla celów filantropijnych.

Nie wiem dlaczego po tych latach istnienia, tę staruszkę scenę, która sobie była gracyalistką Towarzystwa, ale gracyalistką opłacającą się swoim dobrodziejom co roku jakimś niezgorszym nawet procencikiem, tak gwałtownie za próg wypchnięto.

Dzisiejszy wydział zniósł teatrzyk z tej racyi, że potrzebował miejsca więcej dla kilku babek i dziadków; sałę teatralną zamieniono tedy na przytułek.

Podobno nie mógł zrobić inaczej i nie umiał sobie poradzić sam, a dobrej rady innych nie chciał usłuchać, bo w Towarzystwie Dobroczynności już taki zwyczaj się wytworzył, by się rządzić swoją własną głową.

Pamiętam, kiedy w roku zeszłym hr. Walewski, z najlepszymi chęciami i energią, z poświęceniem i młodziwieczą obrotnością chciał Towarzystwu ułatwić budowanie i utworzenie nowego przybytku, wystarał się o plany, kosztorys, nawet o fundusz zakładowy; pamiętam sessyą, na której sam byłem obecny, gdy zapadła uchwała potwierdzająca plany i wnioski hr. Walewskiego i uprawniająca go do wykonania projektu.

W kilka dni powiał jakiś inny wiatr, który wszystkie najpoważniejsze chorągiewki odwrócił w przeciwną stronę; obalono poprzednio powziętą uchwałę, hr. Walewskiemu zrobiono przykrość niezasłużoną, zrażono człowieka najlepszych chęci i wpływów, odsunięto go tem—(nie jego pierwszego i jednego) od zajmowania się i działalnością pożyteczną dla instytucyi—i postawiono na swoim.

Ofiarą owych zeszlórocznych przewrotów padł teraz Teatrzyk Dobroczynności; nie chciano uwzględnić tego, że nie godziło się niszczyć starej pamiątki, która dla Warszawy miała znaczenie i wartość zabytku, nie dającego się tak łatwo wskrzesić z gruzów i odnowić, że ta scenka mała służyła jednak w swoim zakresie sztuce pożytecznie, że pod dobrem kierownictwem dawała i dawać mogła stałe dochody, że była rodzajem szkoły dramatycznej i pepiniarą talentów, które wcale poczesne miejsce zajmowały na prawdziwych deskach teatralnych.

Powiedziano sobie, że to wszystko jest niczem wobec potrzeby miejsca dla babulek, które jednak z dochodów amatorskiej sceny, mogły mieć zapewniiony kawałek chleba, a dzisiaj trzeba będzie szukać go dopiero i zbierać środkami, coraz trudniejszymi w pomyślnych skutkach.

Szkoda Teatrzyku Dobroczynności, w którym tyle przyjemnych wieczorów spędziła publiczność trzech pokoleń i tyle wspomnień pozostało, i tyle pożytku drobnymi siłami się tworzyło.

Znowu się zatarło jeden ze śladów przeszłości, i to własnymi rękoma...

Publiczność, co prawda, pocieszy się rychło; ona na brak wrażeń u nas uskarżać się nie potrzebuje. Koncertów i widowisk ma jeszcze do woli, a niebawam w pięciu ogródkach będzie mogła pić piwo, jeść kotlety, wysysać raki i szparagi w antraktach operetek, wodewilów, komedyj i melodramatów.

We Wtorek upłynął termin konkursu, ogłoszonego na sztukę ludową przez redakcyą *Echa*; ciekawy jestem, jaką perłę wyłowimy z tych odmetów twórczości.

Czy znowu może wypłyne jaka tryumfatorka zamiast tryumfatora?... uważaliście zapewne, iż w ostatnich czasach laury konkursowe spadały na skronie kobiece. Na konkursie dramatycznym imienia Żółkowskiego, za dramat ludowy, na konkursie powieściowym w *Kuryerze Warszawskim* i w *Gazecie Świątecznej*, kobiece pióra zwyciężyły.

Nagrodzona powieść pn. Rodziewiczówny p. t. „Dewajtis,” drukująca się obecnie w felietonie *Kuryera Warszawskiego* ma znamionować prawdziwy i oryginalny talent niepospolitego rodzaju.

Chwała Bogu!... potrzeba nam nowych, dobrych, dzielnych sił w literaturze.

Wracając do teatru i sztuki, zanotować mi wypada poranek benefisowy p. Adolfa Ostrowskiego, który do repertoaru wprowadził farsę francuzkiej spółki pp. Valabregue i Ordonneau p. t.: „Durand i Durand.” Treść oparta na *qui pro quo*; kupiec i adwokat jednego nazwiska są bohaterami rozmaitych przygód, które autorowie wymyślili dla uciechy i zabawy naiwnej publiczności.

Śmiechu płytkiego z tej pustej bańki było dużo, choć sztukę grano bez tej werwy i humoru, jakiego takie francuzkie elukubracye sceniczne wymagają.

Krytyka nietylko nasza, ale i zagraniczna zrobiła uwagę, że pomysłowość i dowcip komedyo-pisarzów francuzkich wyczerpują się w ostatnich czasach; powtarzają się stare anegdotki, stare

koncepta i facecyjki, odgrzewa dowcip znany i zużyty, nicuje temata wyzyskane po sto razy' sytuacje, które widz zna na pamięć. Coraz częściej jedni drugim zarzucają plagiaty, choć Bogiem a prawdą, niema się tak bardzo o co upominać i prawować.

Gorączkowa twórczość na handel, dla pieniędzy, forsowna eksploatacyja talentów i pomysłowości, coraz większe wymogi znieczulonych nerwów publiczności, która domaga się ciągle nowych wrażeń, nie głębokich ale częstych, ciągle śmiechu taniego i rozrywki, choćby bezmyślnej, wreszcie wpływy skomplikowanej natury na kierunek społecznego i literackiego ruchu nad Sekwaną—tłómaczą ten znaczny upadek sztuki i gustu.

Powinno-by to być pouczającym przykładem i przestrogą dla nas.

Mam jeszcze jedną kwestyą do zanotowania z ubiegłego tygodnia, która powtarza się peryodycznie od czasu pierwszego konkursu na pomnik Mickiewicza i zdaje się, że rozwijać się będzie, jak ułamek łańcuchowy bez końca.

W literackim dodatku do *Kraju* p. Stanisław Witkiewicz, który jako artysta i literat w jednej osobie, odkłada często pędzel, aby wziąć pióro do ręki, wystąpił z ciętą krytyką dotychczasowej działalności konkursowych komitetów i wskazał organiczny błąd całej tej ronionej raz po raz sprawy. Zgadzam się zupełnie z autorem wspomnianego artykułu, bo sam z tegosamego stanowiska zapatrywałem się zawsze na sprawę pomnika i konkursu i rozwijałem mój pogląd na nią, tak tutaj, jak i w innych pismach.

Kwestyą rozwiąże ostatecznie nie komitet, nie krytyka, nie plebiscyt, nie konkurs z narzuconymi ideami i stylami, ale prawdziwy i odpowiedni talent, godny podjętego zadania. On sam, jeżeli się poczuję na siłach i rozporządzać będzie potrzebną techniką, odgadnie czem najlepiej będzie można ucześć parięć Mickiewicza, obejdzie się bez przepisów, bez wskazówek, bez pomocy cudzej głowy i cudzej ręki, utworzy w natchnieniu coś takiego, co od razu wszystkie spory rozwiąże i sprawę rozstrzygnie.

Otóż w oczekiwaniu tego talentu, który będzie rozjemcą i jedynie zadecyduje w kwestyi ciągle spornej, p. Witkiewicz proponuje:

- 1) „Rozwiązać wszystkie dzisiejsze komitety i zobowiązać ich członków, ażeby nigdy nie aspirowali do podobnej godności.
- 2) Kapitał Mickiewiczowski złożyć w jakim pewnym banku i z jego procentów ogłaszać co pięć lub dziesięć lat konkursu na pomnik.
- 3) Usunąć z warunków konkursu wszystkie wzmianki o *stylach* i wogóle wszystko to, co może krępować talent i indywidualność artysty.

„Niech Mickiewicz czeka choćby sto lat na pomnik—powiada pan W.,—ale niech pomnik ten wart będzie jego poezyi. A jeśli kiedy jaka burza dziejów rozsypie go w gruzy, niech jego szczątki warte będą tej czci, jaką są otoczone rumowiska wielkich dzieł sztuki.”

— Jakto, więc znowu zwłoka?—zawołają z oburzeniem niecierpliwi i znudzeni polemiką pomnikową.

— A tak.

— Dlaczegoż zwlekać?... czy nie lepiej zakończyć sprawę byle jak, niż przeciągać ją w nieskończoność?

— A nie, bo właśnie skończona byle jak przedłużać będzie nasze spory i kwasy, i niezadowolenia i kłótnie o wiatr. Nie warto po to stawiać pomnika Mickiewiczowi, abyśmy się pod nim czubili i wypominali potem jedni drugim poronione dzieło. Lepiej czekać już cierpliwie i doczekać się pomnika wraz z rozkwitem polskiego rzeźbiarstwa.

Quis.

NA STARYM GRUNCIE.

POWIEŚĆ

Przez

M. Febroniusza.

(Dalszy ciąg).

Panu Romanowi oczy świeciły powstrzymanym gniewem. Owa spokojna rozmowa, na którą gospodarz zapraszał go łagodnie, nie przydała mu do smaku i stojący przed małym, suchym staruszką wyglądał jak wielkolud, któryby chciał go zmiażdżyć. — My sobie sprawiedliwość znaleźć potrafimy!... — zawołał, a nie była to już tylko pogroźka dla strachu, którym postanowił działać. Złe jest wpuszczać sobie w umysł rzeczy niedobre, choćby na żart tylko, bo mogą się tam znaleźć niespodzianie w chwili takiej, gdy gorsze strony natury naszej wystąpią, wiodąc nas na pokuszenie. Złe marzenia stają się nieraz złą rzeczywistością i tak się stało z p. Romanem, który w tej chwili byłby się z żółtą krwią dopuścił wszystkiego, byle tylko ukłóżyć opór, który za zuchwalstwo uważał. — Potrafimy sobie znaleźć sprawiedliwość!... — powtórzył z butą. — Gdzie ja trafię, tam inni u drzwi stać będą! Jadę... jadę zaraz, natychmiast do Grodna, a jeżeli będzie tego potrzeba to i dalej. Mam stosunki i zrobię, co zechcę. Mogę to... mogę w niejednym pomódz, ale mogę i zgubić. Nie radzę też wojować ze mną.

— Bobyś zgubił!... — dokończył za niego p. Michał i podniósł się. — Słuchaj młodzieńcze — rzekł z powagą — przez ciebie odzywa się gniew i mówisz złe słowa, którym nie wierzę... Nosisz nazwisko uczciwe i nie wierzę ci... Że ojca twojego tu niema, więc powiem ci to, co on-by powiedział: że są rzeczy, których dopuszczenie się plami, a hańby nie zmywa się niczem, bo przylega do nas mocno. Mam syna, starszego, niż ty, i doświadczenie, którego nie posiadasz, i z którego czerpiąc, mówię, że lepiej jest w nędzy człowiekowi uczciwemu, niż milionerowi ze skazą na honorze...

— Mój panie! — krzyknął p. Roman, a dzika złość go dusiła, ścisnęła mu gardło. Kęściany dziadek przemawiał do niego głosem mentora i dawał mu nauki... Patrzył na stojącego przed sobą i nawet ta troszka, jak mleko białych, rzadkich włosów, krótko przyciętych na małej głowie staruszka drażniła go i podnosiła namietność. Taki człowieczek... taka nędza, taka ruina, grożąca mu sądem ludzkim i pogardą społeczeństwa!...

— Mój panie! — powtórzył, ale nie dodał już nic do tego słowa, bo w tej chwili drzwi boczne otworzyły się i wszedł Stanisław. — Co to jest? zapytał, postępując ku stolikowi.

Wyglądał tak pięknie, tak szlachetnie, jak może nigdy, wysmukły w szaraczkowej czamarce, z błyszczącym okiem błękitnym i podniesionym czołem, z którego włos jasny w tył odrzucił. — Co to jest panie, że ktoś mówi tu do ciebie tak głośno i tak surowo? — dodał, zwracając się do p. Michała.

— Nic... nic... kochanku, my tu mamy interes, który załatwiamy... — odparł p. Michał, uśmiechając się do młodzieńca, jak do syna. Dziwna siła ducha była w tym starcu, tak wątłym i utrzymała w nim męskość, mimo zgrzybiałości ciała.

— Interes to jest, w którym pragnę cię wyręczyć, panie — odpowiedział Stanisław i obrócił się do p. Romana. — Tak, w interesie, o który chodzi, ja stawam do załatwienia go. Mogę tu być rękodajnym wyręczytciem, bo p. Michał Rudawicki jest sędziwy i dlatego w miejsce niego staję.

— A waćpan kto jesteś! — zawołał p. Roman. — Patrzył na Stanisława tak wyniosłe, tak z góry, jak na jakieś żdłbo, któreby leżało na ziemi i głos z tamtąd podniosło.

Spotkał przecież oczy, które się z jego oczyma zmierzyły. Stanisław stał wyprostowany, w błękitnych jego źrenicach był pewien wyraz dumy, ale bardzo spokojnej: — W obecnej chwili jestem przede wszystkim sługą, ekonomem tego oto sędziwego pana — rzekł. — Ale należy mi dodać i nazwisko moje, co zapewne dopomoże pamięci pańskiej, abys przypomniał sobie, żeśmy znajomi. Jestem Stanisław Starowiejski. Kilka lat temu spotkaliśmy się w Paryżu, dwukrotnie byliśmy w towarzystwie jednym...

P. Romanowi błysnęło w myślach i słowa Stanisława, rzeczywiście pomogły jego pamięci. Gdy ten przed chwilą do pokoju wszedł, jemu się zdawało, że go zna, że go już gdzieś widział, ale wspomnienie było mętne i niepewne, nad którym się też nie zastanawiał. Teraz przecież przypomniał sobie odrazu czas i miejsce, w którym Stanisława widział. Tak... spotkali się w Paryżu u jednego z ziomków, który ojcowską fortunę tam zjadł i w którego domu Stanisław nauczył się najpierw puszczać na hazardy gry. Jego pierwsza większa przegrana była właśnie do p. Romana, który choć się przy kartach tak namietnie rozpalał, że oczy świeciły mu, jak węgle, a w chwilach stanowczych stawał się bladym, jak kreda; jednak miał dość zimnej krwi, aby nagle zabastować, skoro szczęście służyć mu nie chciało. Stanisław przeciwnie, tej zimnej krwi wcale nie posiadał i grał lekkomyślnie, a gorąco, właśnie wtedy, gdy fortuna odwracała się od niego, i tak było wówczas, gdy p. Roman zagarnął mu stos luidorów, na które szło kilkanaście tysięcy polskich złotychek.

Przypomniał to sobie teraz odrazu, ale tonu bynajmniej nie zmienił. Spojrzał tylko tem wyniosłej i brwi ściągnął. — Charłak zgrany... pomyślał i rzekł sucho, rozkazująco: — Nie mam z waćpanem nic do czynienia. Proszę nas zostawić...

— Nie... — odparł Stanisław żywo i zapalając się już — nie... bo teraz ja do czynienia z panem mam. Znajdujesz się tu nieprzyzwoicie i tak, jak nie śmiałyś postępować, gdyby tu był młody syn domu, stojący z poparciem ojcu wiekowemu. Ale ja go zastępuję... ja jestem tu właśnie dlatego, aby to miejsce, przez los okrutny opróżnione, pustem nie było...

— Stasiu! — wykrzyknął p. Michał wzruszony, ale Stanisław go nie słyszał, bo gniew nim trząsał i oczy ciskały błyskawice.

— Ja tu jestem, zastępcą tego, którego brakuje starości bezsilnej — mówił — ze mną musisz też rozprawić się kalinowski panie, za to, żeś tu wtargnął samowolnie i postępował zuchwale, jak człowiek bez serca, jak człowiek zły. Musisz mi za to satysfakcją dać, musisz się strzelać ze mną.

— Nie... — odpowiedział p. Roman hardo i gromko — bo ja, jeżeli się biję, to z panami, a sługi pacholkom moim zostawiam...

Że Stanisław w tej chwili do niego nie skoczył, za pierś go nie schwytał, o ziemię nie rzucił, to mógł sobie policzyć za tryumf człowieka cywilizowanego, nad człowiekiem natury. Zbladł tylko i na sekundę jedną, jakgdyby głos stracił.

Ale za to głos ten brzmiał tem pełniej i ze stanowczością tem większą, gdy go odzyskał. — Będziesz się ze mną bił przecież, mój jasny panie — zawołał. — Będziesz się ze mną bił, bo cię do tego zmuszę. Nie znam tu ludzi, ale nie może być, aby w całej tej okolicy nie było takich, którzy mają serca w piersiach, i nie skoszlawione pojęcie honoru. To zaś, że nie wyzywam cię od takiego na przykład stolika gry, przy którym ja i ty marnowaliśmy lekkomyślnie krwawicę ojczyzną, że spotykasz mnie tu teraz pracującym uczciwie i pożytecznie — to nie stanie w ich oczach przeszkodą, aby mi posłużyli w tej sprawie, w której nie ja, lecz ty p. Kalinowski napastnikiem jesteś i obrażającym. Sekundantów też sobie

znajdę, jak tuszę i przysięę ci ich z wyzwaniem. Jeżeli zaś źle strzelasz i wolisz może pałasze, to dobrze... Czy broń biała, czy pistolety, przyjmuję... ale bić się z tobą chcę... bić się z tobą muszę!...

Stanisław nienawdził już i nisko traktował p. Romana za jego mało szlachetne zaloty do Wandy, za jego prześladowanie sieroty swoją odpychaną miłością — za tragiczne poplątanie jej losów; przecież teraz nastąpiło tu jeszcze dolanie oliwy do ognia. Nie był on już szlachcicem w znaczeniu dawnym — w znaczeniu przesądu kastowego, ale był synem wielu pokoleń tych szlachciców, wielu pokoleń ludzi rycerskich, którym szabla, jeżeli nie dzwoniła przy boku, to wisiała przed oczyma na ścianie i nie był w stanie znieść obrazy spokojnie. Gdy objechawszy łąki, które koszono, do domu wrócił, na podwórzu powóz i kare konie zobaczył, gdy się dowiedział, co to za gość przyjechał tu, tak wczesnie, niespokojny już do swojego bocznego pokoiku szedł, bo on, ekonom, nie miał prawa, jak syn, lub ktoś krewny, czy przyjaciel, wejść tam, gdzie jego pan gościa przyjmował. Ale gdy podniesiony głos tego gościa usłyszał, gdy ten gość na spokojne i uczciwe refleksowanie go przez gospodarza jeszcze raz, jak gbur go podniósł, młodzieniec już się powstrzymać nie mógł. Zapomniał, że może zostać zapytanym: jakie prawo tu ma występować i jak równy z równymi w interessa ich się mieszać? Zapomniał: młody był i uczciwe serce uderzyło, gorąca krew zawrzała. Skarcić nieszlachetnego śmiałka, który bezbronności starca nadużywał, a wobec jego zubożenia i niemocy w zuchwałość rósł, stało się w nim taką potrzebą, że popędowi gniewu, oburzenia swego uległ. Następnie już i demaskować się musiał, zwłaszcza, że ze znajomym się spotykał i występował wobec niego tak, iż się to stawało rzeczą nieuchronną. Jeszcze przecież nie postawił się przez to w położeniu, któreby go poniżało w oczach ludzi rozumnych i uczciwych. Jeżeli pracował teraz na chleb, straciwszy lekkomyślnie ojcowiznę, toż mu ani ujmy, ani dyshonoru nie przynosiło, lecz przeciwnie. Pracą się dźwigać z upadku, z pracy czynić pokutę za grzechy marnotrawstwo — to w takich razach jedyne podniesienie się szlachetne i ludzkie, i ci, którzy cośkolwiek lepszego w głowach i sercach mają, jeszcze ręki swojej nie cofają przed takimi.

Stanisław miał też nadzieję, że i z nim tak będzie — miał nadzieję, że sekundantów sobie znajdzie; a gdyby Roman Kalinowski nie stanął mu do rozprawy, to zwoła na niego sąd honorowy i pole walki, na którym go brakowało, ostrzelaniem, a nieobecny za tchórza ogłoszonym zostanie. Stanisławowi w tym razie już nie więcej potrzebnem nie było, i dlatego wobec obrażającej go, zuchwatej odmowy, kontenansu nie stracił. — Musisz się ze mną bić, jasny panie! — powtórzył dumnie — musisz się ze mną sam, a nie przez pacholców twoich, rozprawić, bo są przecie prawa takie, światem rządzące, które cię do tego nagną. Kaniwskim starostą nie jesteś: bić się będziesz!...

P. Roman trzęsącemi się z gniewu rękami za kapelusz schwycił. — Nie zapomnę ja tego, co mnie w domu pańskim spotkało... — zawołał do p. Michała na pożegnanie i w jednej minucie w ganku się znalazł, lecz los chciał, aby mu tu jeszcze coś drogę zastąpiło. Podróżne właśnie z miasta wróciły. P. Róża jeszcze w powozie siedziała, oddając przywiezione paczki temusamemu chłopakowi w płótniance, w którym tu p. Roman pierwszego przewodnika znalazł, lecz Wanda już z konia zsiadła i rozrzucona, ożywiona ślicznie ruchem przejażdżki, na pierwszym stopniu ganku stała, a teraz z zadziwieniem najwyższym ujrzała nagle p. Romana, który też na jej widok drgnął. Ale roznamietnionym był za nadto, aby ją w jakikolwiek sposób mógł przywitać spokojnie, tylko kapelusz zdjął i złożył jej sztycherzo ukłon tak głęboki, że się przed nią niemal do połowy zgwał i omijając powóz, który mu prostą drogę zagradzał, bocznią stroną ganku na podwórze wyskoczył. — Dawaj... krzyknął na swego stangreta, który w tej chwili z boku też

zajechał i za nim Wanda opamiętać się mogła, już jej on i wszystko, co do niego należało, zniknęło z przed oczu. Stangret poznał po głosie pana, a może i po jego bladej jak ściana twarzy, że mu tu ztąd odjeżdżać pilno, i tak konie wypuścił, że w okamgnieniu już go przed jej wzrokiem nie było.

Mogłaby była wziąć to całe niespodziewane spotkanie za złudzenie optyczne, gdyby nie przykre wrażenie, które jej po nim zostawało. Oczy p. Romana ukłóły ją takim wyrazem szyderstwa, że mieszała się mimowoli. — Ach! — zawołała w sobie przelekniona i bolesnem przeczcuciem tknięta — co ten człowiek tu chciał?... co tu robił?..

I on nie uśmiechał się w tej chwili. Pięści miał zacisnięte i krew gotowała mu się w żyłach. Nigdy Wanda nie wydała mu się cudniejszą, niż pod tym starym gankiem o drewnianych słupkach, na tle tego dziedzińca pełnego zieloności i kwiatów, lecz zarazem uczuł pod sercem jak ukąszenie jadowitej zmi. Zazdrość — wściekła, namiętna zazdrość, nie odnosząca się do dalekiego cienia przeszłości, ale do żywego człowieka, który miał teraz obok Wandy przebywać, zalała mu serce i mózg zółcią gryzącą, i myśl niska, myśl nieszlachetna wypełzła z tego nagle. — Czy to nie ten drugi Stanisław — ten, jak w melodramie książę przebrany, był rzeczywistym powodem znajdowania się tu Wandy, między parą tych starców niedołężnych, u których zaślepienie było łatwem?

Choć to uczucie lepsze, będące mimowolnem uszanowaniem cnoty tam, gdzie ona jest prawdziwą, a które tkwi na dnie nawet lichych i małodusznych istot ludzkich, zaprotestowało w nim natychmiast przeciw nędzemu przypuszczeniu, niemniej jad zazdrości już mu się wsączyl w serce, aby gryźć. Myśl, że Wanda będzie teraz przebywać pod jednym dachem ze Stanisławem, zapuszczała w niego takie szpony, o których było można powiedzieć z poetą, że sięgną aż do trzewi i zatargną...

Teraz już miał nietylko chęć, ale pragnienie namiętne, aby się ze Stanisławem bić, aby go ujrzyć przed sobą jako cel dla jego ciosu — dla lufy jego pistoletu. Ten człowiek już po raz drugi stawał na jego drodze jako zawada, jako zator niemiły, o który się potracał, bo i tam w Paryżu ta przegrana, już znaczna, Stanisława do niego, przyniosła mu nieprzyjemności. Polacy tam bawiący wzięli mu to za złe, że dopuścił do takiego ogrania się ziomka i młodszego odeń o lat parę. W czasie gry już protestowali i chcieli ją przerwać, ale delikatniej, szlachetniej mógł to uczynić tylko wygrywający, naznaczając Stanisławowi rewansz na drugi, trzeci dzień. Odpowiedział im przecież ruszając ramionami. I on nieraz przegrał, więc nie miał potrzeby teraz kart kłaść, gdy mu szczęście sprzyjało, a gdy raz rzecz tak postawiona została, Stanisław przez fałszywą ambicją młodego nowicyusza, już też grał do grosza ostatniego. Że przecież wtedy pieniądze lekko cenil, jeszcze się o to na p. Romana zbyt nie zaciął. — A... rzekł, wstając od stołu z pustą kieszenią — kto do gry siada, powinien przygotować się na to, że przegrać może...

Jadł potem przez dwa dni chleb z serem i popijał winem czerwonym, po kilka sous za miarkę, aż mu ktoś z doświadczeńszych pokazał drogę, jak się to w takich wypadkach przed biedą salwuje i pożyczka nauczył. Choć w pierwszej chwili po katastrofie odprysnął się w duszy kart, do których siadał wtedy więcej z młodej fanfaronady, niż z rzeczywistego pociągu, przecież ta przegrana zaznaczyła się w życiu jego fatalnie. Strata, do której nieśmiało się ojcu przyznać, nietylko wciągnęła go na drogę pożyczek, ale korciła go i ciążyła mu na sumieniu, jak pierwszy grzech utracyszowstwa i chęć odegrania, odezwiała się też nieszczęśliwie przy pierwszej okazji, tak że powiedzieć było można, iż p. Roman źle przeszedł mu przez drogę życia.

A choć on rzeczy tak nie brał, bo jak zwykle młody, za dumny był na to, niemniej p. Romana w gruncie duszy nie lubił. Już odtąd nie widywali się ze sobą, ledwo czasem o sobie coś sły-

sząc, bo i tamten tego unikał, doznawszy też z powodu tej awantury przykrości pewnych. Najpierw jeden ze starszych Polaków oddawna już w Paryżu osiadły emigrant, który nad przybywającą tu z kraju młodzieżą chciał poojcowsku czuwać, powiedział mu, na cztery oczy, kanzanie dość surowe, potem to jeden, to drugi ze znajomych nazwał go Herodem, który rzeź młodziankom sprawia. Żarty to były, ale on ich nie lubił i pewien rodzaj skrytej nienawiści do Stanisława powziął, a tu teraz, gdy z czasem nietylko o całej tej sprawie przeszłości, ale nawet o istnieniu jego, zapomniiał, człowiek ten zjawia się nagle i staje na jego drodze.

Jadąc do domu, piekło w duszy miał — piekło zazdrości i nienawiści, która rozciągała się i do Wandy, jakkolwiek drugostronnie serce rozgorzało mu namiętną do niej miłością. Gdyby, jak w bajce, jaki kusy, jaki Niemczyk w czerwonych pluderkach i z rogami pod kapeluszem, na rozstajnych drogach mu się pokazał, był-by mu duszę sprzedał za palącą rozkosz zemsty nad Stanisławem.

Plan, który sobie tak łatwym do wykonania przedstawiał, nagle splątał mu się w rękę i jego samego w węzły swoje pochwylił, ale za wyniosłym był, aby do przegranej się przyznać przed sobą samym. — Va banque! — zawołał i powiedział sobie, że ostatecznie pojedynku nie odmówi.

Tymczasem w Rudawicy porządek cichego życia z gruntu wywróconym został. Choć p. Michał żonie i Wandzie bytność p. Romana tem wylómaczył, że przybył do niego poufnie ze smutną wiadomością, iż prezesowa bardzo po Wandzie tęskni i może z tego powodu na zdrowiu ucierpieć, Wanda szczególnie czuła, że musi się kryć poza tem coś więcej jeszcze. Szyderczo niski ukłon tego człowieka i jego odjazd dziwnie pospieszny, mówił jej, że był on tu z jakąś zapowiedzią groźby, jak ten poseł Hunnów, który przybywał, aby Rzymowi zapowiedzieć rzezi i pożogi rzucić, ale daremnie oczy jej chciały doszukać się wskazówki jakiejś na twarzy p. Michała i Stanisława. Dopiero popołudniu, przy obiedzie dowiedziała się, że panowie gdzieś jada. — Spacerowały panie moje rano — rzekł p. Michał wesolo, żartobliwie — i my też, by w tyle nie zostać, na spacer się wybierzemy?

— Gdzie? — zawołała Wanda, niezdolna się hamować, ale p. Michał, przy którym siedziała, delikatnie ją po rękę pogłaskał: — Ciekawość pierwszy stopień do piekła — rzekł z uśmiechem swym miłym. — Miałyscie asińdzki swoje interessa, mamy i my też swoje...

Ale zaraz potem dodał, że trafia się w okolicy możność kupienia takiej pary wołów, jakich mu było właśnie już od przeszłego roku potrzeba. —

— Ten p. Stanisław, kochanko, ustawicznie mnie o to męczy i głowę mi suszy, że nie mamy dość sprzężaju do roboty w polu. Straszy, że gdy sprzęt przyjdzie, to nie będzie czem snopków z pola zwozić i porosną, a że zwłaszcza rok jest przepadzisty...

— Czy to p. Roman o tych wołach wiadomość przywiózł? — przerwała mu Wanda, patrząc w oczy, a biedny stary się zmieszał. — Tak... tak... kochanko — odpowiedział. — Napomknął coś o nich, choć już poprzednio wiedziałem.

Ona nie pytała już o nic więcej, tylko ciężka trwoga serce jej ścisnęła i po obiedzie rzuciła się z płaczem w objęcia p. Róży. — Matko — rzekła ja tu za sobą nieszczęście wam przyniosłam. Czuję, że już się coś podnosi, coś grozi...

Ale nie mogło być na to żadnej rady z ich strony, bo obie nie wiedziały nic i musiały trwogę w sercu tak zamknąć, jak ją zamyka niemało kobiet w położeniach podobnych. Niby oszczędzając ich serce, mężowie i bracia kryją przed niemi zwykle, gdy nadciąga burza wielka, której gromy mogą im zabić wszystko, co najdroższego na świecie mają. One to czują, wiedzą, że niebezpieczeństwo jakieś okrutne zbliża się, ale muszą milczeć i tylko w powietrzu krzyż kreślić nad drogiem sobie, nad życie własne droższymi głowami!

Tak też działo się dnia tego w Rudawicy. P. Michał przybrał się w najlepsze suknie swoje,

Stanisław włożył granatową czamarkę, zajechała najtyczanka, właśnie niedawno przez Stanisława w jakiś zadziwiająco tani sposób nabyta, i pojechali.

P. Michał przy pożegnaniu pogładził Wandzie włosy nad czołem. — Niech nam tu asińdzka do do kolacy kwaśnego mleka ze śmietaną naszykuje, bo po przejażdżce apetyt będziemy mieć — rzekł.

Widział w jej oczach niepokój ogromny i uspokoić go chciał, ale daremnie.

— Ojczy — zaczęła dziewczyna, łzy wstrzymując — ojczy... czy ja tu nie stałam ci się przyczyną zmartwień, przejść przykrych? Czuję to, wiem prawie na pewno...

— Ten człowiek, który tu dziś rano był, miał straszne, straszne oczy i zabolalo mnie serce, gdy spojrzal niemi we mnie. Ojczy... powiedz mi...

— Co... co mam asińdzce powiedzieć, kiedy nic takiego zgoła niema... No, no proszę nie mieć przeczcuc żadnych, żeby nie mizernieć i ładnie mi wyglądać.

Pocałował ją w głowę, jak ojciec do piersi sobie przytulił i pojechał.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Maju 1888 r.

Nieskończenie dawno nie mieliście wieści ze starego naszego grodu. Leniwą falą wprowadzicie płynię w nim życie, niemuje płynię, i wiązankę pewnych objawów bądź umysłowego, bądź społecznego istnienia, zawsze mógłby sprawozdawca odszukać, a pióro jego na papier przenieść. Jeżeli nie posiadaliście od dłuższego czasu sprawozdań, nie brak faktów tu milczenia źródłem, ale w usposobieniu osobistem korespondenta potrzeba szukać przyczyn usunięcia się na jakiś czas korespondencyi krakowskich z łamów „Bluszczu“. Korespondent zbyt żywo odczuwa wszystko, co go otacza, co smutnem wrażeniem bije o skrzydła jego myśli. A wrażenia żalobnych niezliczone mnóstwo zewsząd ciśnię się ku każdej myśli żywiej to odczuwającej, co gromowemi chmury horyzont nasz zaciemnia. Ztąd ciższa, milczenie... Dzisiejszy list nie jest jednak objawem większej pogody na naszych horyzontach. Owszem, każdy niemal dzień przynosi nowe zjawiska smutne z życia społecznego i umysłowego naszego plemienia; sprawozdawcze pióro miały dość pracy, gdybyśmy chcieli wszystko, co smutne wnosic na kartę kroniczki życia codziennego. Ból głęboki, smutek bezbrzeżny, nie może jednak wywołać zniechęcenia, opuszczenia rąk... I jedno i drugie, gdy na pracy naszej niwach ukazuje się, powinno być zjawiskiem chwilowem, przemijającym, i myśl w górę dążyć a dłoń ku trudu nizinom zniżać się musi. Na nizinach ciężkiego trudu, na przepaścistych ścieżkach powszedniego życia, są nadzieje pogodniejszego brzasku dni, których może nie ujrzemy, — są jedyne leki na bóle dzisiejszej chwili...

Nawiązać obecnej korespondencyi z przeszłemi, nie próbuję nawet. Od owej chwili, gdy do was poraz ostatni pisałem, tak już dużo upłynęło chwil, a każda z nich coś przyniosła, przyniosła bogdaj jedno ziarno dla przyszłości... Niepodobna więc nawiązać nici łączącej korespondencyą dawną z obecną; mimowoli jednak myśl moja zwraca się ku przedniejszym wypadkom z naszego życia godzin, dni, miesięcy ubiegłych... Przedniejszą, a nadzwyczaj podniosłą chwilą wśród szarej doli naszej był bez zaprzeczenia dzień ubiegłej wiosny, trzynastu prawie miesiącami oddzielony od dnia dzisiejszego. Była to chwila pamiętna... pogrzeb Kraszewskiego... Na starym mogilniku, jakim jest przedewszystkiem Kraków, urosła przed rokiem jeszcze jedna

a tak wysoka mogiła, iż ją zewsząd widzieć będzie myśl polska, serce polskie... mogiła J. I. Kraszewskiego. W podziemiach kościoła „na Skalce“ w „grobach zasłużonych“, złożył Kraków, rzecz właściwiej złożył „naród w Krakowie“, śmiertelne szczątki przedniejszego ze swych synów... Mogiła Kraszewskiego z bogactwami gród pamiątek i najdroższych relikwii narodowych... Przybyło nowe ogniwo, nowa spójnia, łącząca gród podwawelski z tysiącami serc naszego społeczeństwa... Dla dziennikarstwa, dla prasy, ubiegającej się wciąż o nowość, o drobiazgi, bawidełka, byle nowe, byle starczyły na chwilę dla rozrywki rozciekawionych tłumów—te reminiscencyje są rzeczą przestarzałą; dla społeczeństwa to rzecz świeża, bo smutek prawdziwy w sercach lepszej jego połowy nie znikł i nierychło zginie.

Na grobie wielkiego męża, jako kwiaty, co na mogilnej darni urastają, powstało kilka projektów, które uczcić miały raz jeszcze jego pamięć, a zarazem przynieść korzyść społeczeństwu. Z liczby projektów, które powstały, lecz przedwcześnie zgasły lub dogasają, zaznaczyć należy myśl uzbierania kapitału na stypendyum dla kobiet, pragnących się kształcić w wyższych zakładach naukowych. Kolebką owej myśli są poczciwe serca młodzieży uczącej się w Wyższej Szkole Technicznej. Krzątała się młodzież około urzeczywistnienia swej myśli czynnie, oile mogła, oile stać jej było na siły i środki. Chcąc przysporzyć źródeł powiększenia kapitału, powzięto myśl ponownego ilustrowanego wydania powieści J. I. Kraszewskiego, p. t. „Ułana“. Nad ilustrowaniem „Ułany“ pracował ołówek p. Leonarda Stroynowskiego, bardzo zdolnego młodego artysty, b. ucznia Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Pochodząc z okolic zabużańskich, zna on wybornie tameczne typy; ilustrowanie przeto nie będzie improwizacją, pozbawioną studyów czynionych na miejscu, z uwzględnieniem przytem zmian zaszłych w stroju i obyczaju ludowym. Ilustrator, pragnąc ściśle z zadania wywiązać się, powinien cofnąć się do epoki, w której powieść tworzona była. Powieść ta, niezależnie od swej wartości, i tem się wyróżnia, iż daje obraz stosunków już dziś znacznie zmienionych. Ubiegłe ćwierć wieku jakże stanowczo wpłynęło na przekształcenie ludu wiejskiego, nietylko na Poleskich nizinach, ale w całym kraju!... Czy na lepsze?—wątpię; jest dziś inaczej, niż było, lecz pono... nie lepiej. Obyczaj ludowy, pojęcia, sam nawet język uległy pewnym zmianom. Wschodnie dzielnie szczególnie wyzudy się znacznie ze wszystkiego, co wśród mas ludowych trąciło patryarchalnością dawnego obyczaju... „Ułana“ zatem jest już poniekąd szkicem stosunków rdzennie zmienionych, stosunków należących obecnie do historii...

Zgon Kraszewskiego odbił się najszerzej echem wśród warstw, które najpóźniej weszły na widownię życia społecznego. Malomiasteczkowe mieszczaństwo, koła ludzi pracy i jaśniejszego poglądu, izraelskie, ukształcone, z krajem zespolone jednostki, warstwy stojące przy rzemieślniczym warsztacie, zbliżone do dat wieśniaczych,—najgłębiej odczuły boleść narodu, zrozumiały doniosłość klęski... Pamięć o wielkim pisarzu przechodzi do sfery legend... Gmin miejski powtarza już te legendy ze łąką, z rozczuleniem... Nowy to a nieznaną kwiat na mogile wielkiego pisarza... łąka warstw ludowych,

Nigdy jeszcze u nas, począwszy od pierwszej jutrenki naszego piśmiennictwa nie widziano tego rodzaju objawów... Po Kochanowskim nie płakały szersze rzesze; Krasicki bardziej był zbliżony do społeczeństwa, niż inni, co go poprzedzili, pewien zaś tajemniczy związek sympatii łączył go z całym ówczesnym ogółem czytającym; a jednak i jego zgon przeszedł niepostrzeżony... Nikt myślą nie gonil nad Sprewę, do Berlina, gdzie mu los z brandeburskich piasków usypał mogiłę... śmierć więcej już rozbrzmiała, chociaż milczenie długie, a oddalenie mało go znanym czyniły... Potrzeba było wysiłków niezwykłych, przeszło półwiekowej pracy, by zadzierznąć nie sympatii niezwykłej pisarza ze społeczeństwem... Taką była praca

Kraszewskiego... Massy, do których mówił, które kształcił i wprowadzał nieznacznie do dziedziny myśli, tak nieznacznie, iż same się nie spostrzegły, jak się to stało, zrozumiały go i oceniły najlepiej... Najzdrowsze to znać warstwy narodu; rozszerzać je, pogłębiać, kształcić, podnosić umysłowo—zadaniem naszym być powinno. Jedyne to wdzięczne na dziś pole; dobrze przeto, a prawdziwie poobywatelsku czynią ci, co na ów łąk wywożą swój lemiesz pracy.

Wogóle u nas bardzo mało wiedzą o tem, co się dzieje na skrajach naszych siedzib. Losy szlacheckich wieśniaków, kaszubskie ziemie, Mazowie na Pruskiem Pojezierzu—to dla nas w Krakowie, (ba, i poza Krakowem) kwestye mało znane... Nie szukamy nawet źródeł dowiedzenia się, czy tam jeszcze żywił swojski trzyma się, czy też już pod germanizmu naciskiem wielowiekowym uległ, lub kruszy kopie o swe istnienie... Niemalą jest zasługa tych, co, świadomi rzeczywistego stanu rzeczy, piszą, dają wskazówki, na znajomości miejscowych stosunków oparte...

Do takich pożądaných wskazówek należy znajdująca się na tutejszych księgarskich półkach książeczka maluczka, co do objętości wszakże z powodu swej treści. Jest to *Słowniczek Wyrazów Kaszubskich*... przez X. G. Pobłockiego. Najciekawszą i najważniejszą rzeczą jest tam przedmowa, w której autor, człowiek miejscowy, świadomy kaszubskiej gwary i stosunków tamecznych, stara się w sposób jasny, treściwy, wyłożyć czem są Kaszubi, i co to właściwie jest ich gwara. Nie bawiąc się w żadne sztuczne separatyzmy, w żadne wytwarzania niebywałych szczepów i nowych narodowości, o co, zwłaszcza u nas—tak łatwo, autor dowodzi rzecz znaną, iż Kaszubi są tylko odłamem naszego szczepu. Rzecz ta, chociaż znana, podniesioną być musiała i roztrząsaniu poddana, gdyż ludzie, których nawet miało za pewną powagę, bądź dzięki nieświadomości swej, bądź dla jakichś widoków—a więc ze złą wiarą—twierdzili, i w pismach szeroko po świecie twierdzenia swe rozszerzali, że Kaszubi są jakimś odrębnym, w stosunku do nas cudzoziemskim, szczepem. Znany Mrongovius (co jest rzeczą dziwną, zaiste) przyczynił się niemalą do utrwalania i rozszerzania mylnych tych twierdzeń...

Autor książeczki, o której obecnie mówimy, przytacza nawet kilka charakterystycznych szczegółów o Mrongoviuszu, chcąc uwydatnić jego błędne opinie. Dr. Cejnowa, jak powszechnie wiadomom, także z prawdą się mijał, twierdząc o szczepowej odrębności Kaszubów... Każdy z tych panów chętnie się oglądał na subsydy: nie tedy dziwnego, iż pisał tak, jak jego chlebodawcom odawało się dogodniej i korzystniej...

Książeczkę, o której mówimy, polecam wszystkim, którzy na starym naszym Pomorzu, w Sobocie, pod Gdańskiem, zechcą szukać zdrowia i morskich kąpiel, lub podczas letniego odpoczynku zwiedzać będą ziemie Dolnego Powiśla, obecnie nazywane Zachodnimi Prussami. Mając w rękę tę książeczkę, nasi turyści nauczą się przynajmniej wiedzieć, że są u siebie... Zresztą, przyda się ona i tym, którzy, siedząc w domu, zechcą się dowiedzieć o rozmiarach i losach tego domu... A dziś coraz mniej świadomi tego jesteśmy; stare domowstwo w proch się rozsypuje, my zaś nietylko nie troszczymy się o podparcie węglów, ale nie znamy dalszych izb budynku.

Czas kąpielowy, pora wycieczek zagranicę są dla Krakowa dniami najbardziej upragnionymi, przynajmniej w sferach kupieckich... Zwiększony w owej porze ruch w hotelach, budzi nadzieję, iż ożywi się nieco ruch handlowy, że w sklepach kupujących nie zbraknie... a o tych kupujących tak trudno... Miasto nasze żyje nieco sztucznym istnieniem, ogląda się wciąż na przybyszów, i to przeważnie na przybyszów z poza kordonu. Brak gości wywołałby zjawiska choćby robliwe, zjawiska zupełnej anemii w naszych stosunkach ekonomicznych.

Przybysz z dalszych okolic wciąż tu spotykać może i spotyka rzeczy nowe, a ciekawe, uczące, kształtujące—nie mówiąc już o śladach wielkiej przeszłości starego grodu, o zabytkach sztuki,

o wspomnieniach, któremi przesiąkły, że tak rzekę, mury, pojedyncze kamienie, sam nawet teren tutejszy, od wieków siedziba człowieka.

Z rzeczy najnowszych, które tu przed niewielu laty stanęły i pomyślnie rozwinęły się, wśród imnych zwraca uwagę „Muzeum Narodowe“—przybytek sztuki, instytucya młoda, datująca chwilę narodzin myśli, co ją do życia powołała, za ledwie od lat niespełna dziewięciu, od jubileuszowych dni Kraszewskiego (w r. 1879).

„Muzeum Narodowe“, do którego rzucił podwaliny królewska ofiarnością artysta-obywatel, Henryk Siemiradzki (darując krajowi swe „Świeczniki Nerona“), wciąż odtąd wzrasta, wzbogaca się nowemi dary. Obok Muzeum, a raczej, jako jego dział, stanął zbiór pamiątek po Adamie Mickiewiczu. Dzięki szlachetnej gotowości rodziny, pozostałej po poecie, szczególnie p. Władysława Mickiewicza, Muzeum posiada teraz niemalą pamiątek po wieszczu. Dział sztuki krajowej naczelne ma miejsce w Muzeum; dział ten właśnie w dniach bieżących otrzymał cenny z wielu względów obraz, który teraz gości tylko chwilowo w murach muzealnych, własnością jego jednak będzie zupełną—najnowszy to utwór Matejki, „Kościuszkę pod Racławicami.“ Wspaniała a olbrzymia co do rozmiarów kreacja pędzla wielkiego artysty sprawia porywające wrażenie... Artysta dał nam odłask jednej z chwil bezpośrednio po bitwie upływających. Już opadły dymy dział, już umilkły gwary bitwy i echa wystrzałów, a pobojuwisko jest świadkiem wielu scen podniosłych. Tu z głębi lasu, który stanowi tło lewej strony obrazu, wódz wjeżdża na błonie i wita siermiężne szeregi—sprawców zwycięstwa; tam Bartosz Głowacki stoi u dział zdobytych, a zdala od tłumy widzimy, jak na rękę wieśniaka kona szlachcic. Każdy z tych epizodów, oddzielnie wzięty, mógłby tworzyć całość wspaniałą; szczególniejszej wspominamy tu ostatni epizod: zgon szlachcica na rękę wieśniaka. Wywołuje on wielkie wrażenie, góruje myślą w nim wyrażoną nad innemi epizodami. Typów różnych, traktowanych pomistrzowsku, świat niemal cały; wystawki znane postacie bojowe owej epoki—Madaliński, Wodziecki, Zajączek—zwołane na pobojuwisko; a oprócz nich spotykamy i takich, co z szablą i obozem nie nigdy do czynienia nie mieli. Wsadził więc artysta na konia i zawiózł pod Racławicę Hugona Kołłątaja, który i na koniu nie siadywał i na pobojuwisku nie był racławickim; wprowadził do grona widzów Dembowskiego, wcielenie dawnych wierzeń ultra-szlacheckich, i dał mu za sąsiada Taszyckiego, owianego prądami przewrotów rewolucyjnych francuzkich. Strój, w który artysta odział go, cudzoziemski, z czasów rewolucyi francuzkiej, akcentować ma niejako owe prądy, uosobienie, których pragnie w nim widzieć Matejko. Takich typów różnorodnych, wprowadzonych na olbrzymie płótno obrazu ciżba niemalą, każda pojedyncza postać opracowana starannie, każda jest wcieleniem pewnej myśli.

Ze zdumieniem wszakże nie widzimy w rysach naczelnego wodza zbrojnych szyków owego typu, co się zrosł oddawna z naszym o nim pojęciem. Widzimy go na obrazie innym zupełnie, niż przyzwyczailiśmy się widzieć na tysiącu miniaturach i obrazach, jakim go tradycya przechowała. Strój nawet jest cudzoziemski naczelnik nie ma sukmany krakowskiej, w której widziały go racławickie wzgórze, w której padł na trzęsawiskach leśnych Maciejowie.

Postać Bartosza Głowackiego, pełna prostoty, przykuwa do siebie całą uwagę widza. Bohater dnia stoi oparty o dział z obliczem człowieka, który spełnił tylko powinność swą, nie rozumie doniosłości bohaterstwa, i nie rości sobie praw do żadnej zasługi...

Olbrzymi ten utwór zalicza się bez zaprzeczenia pod względem kompozycji i technicznego wykonania do największych dzieł mistrza.

Wkrótce ukończy się doroczny kurs nauk na wykładach wyższych dla kobiet, które prowadzona stale przy Muzeum Techniczno-Przemysłowem, staraniem i pracą Dra Baranieckiego, kończą właśnie dwudziesty rok swego pożytecznego istnienia. W ciągu dwudziestu lat

Dr. Ad. Baraniecki dźwigał na swych barkach ten tak pożyteczny, a jedyny w całym kraju zakład wyższy dla kobiet. Poparcia znikąd nie miał podczas całego długiego okresu swej niezamordowanej działalności. Nie tylko pracą, ale i funduszem hojnie wspierał on zakład, który nietylko dwudziestu, ale i dwóch lat nie mógłby istnieć, gdy nie ofiarność grosza i pracy Dra Baranieckiego... Zasoby jego energii nie zmniejszyły się, lecz czy zasoby jego własne pieniądze są na wysokości potrzeb—nia wiemy. Byłaby to niesłychana szkoda dla naszej niewieściej młodzieży, gdyby dla braku środków, dla braku poparcia z kraju, „Wykłady wyższe dla kobiet przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym“ musiały ustać... Przypominamy ich chwalebne podstawy materialnego bytu tym wszystkim, którzy w sercu swem posiadają miłość wiedzy i miłość dobra powszechnego...

KOLONIE LETNIE.

Kolonie letnie dla ubogich i słabowitych dzieci warszawskich, stały się już u nas jakoby instytucją stałą, bo nietylko utrzymały się przez sześć lat z rzędu; ale z każdym rokiem liczba wysyłanych dzieci wzrastała w stosunku, jak na nas, znacznym. Gdy w pierwszym roku (1882) było wysłanych dzieci 52, w zeszłym, 1887 r. wysłano ich 288.

Dobroczyne to dzieło prowadzi zawsze zacny Dr. Gustaw Fritsche. W pierwszym roku działało to za współdziałaniem Dra Stanisława Markiewicza, następnie już on sam dźwiga to i kieruje szczęśliwie, bo, jak czytamy w sprawozdaniu z czynności zeszłorocznej, przez te lat sześć korzystało z dobrodziejstwa kolonii 1,009 dzieci ubogich, które z nędznych, dusznych, a często jak jamy piwniczne wilgotnych, przeludnionych mieszkań swoich, wyrzwały na jasny świat boży — odetchnęły świeżym powietrzem, dostawały pożywienie zdrowe i posilne, otrzymywały kierunek, moralnie kształcały.

Pieniądzy, złożonych dobroczynnie na ten cel, było w roku zeszłym 3,493 rs. Prócz tego nadesłano w naturze dary znaczne. Pan Karol Dietrich z Żyrardowa dał wyrobów lnianych w cenie rs. 100; p. Geyer z Łodzi znaczną ilość barchanu i perkalu; p. Izrael Poznański z Łodzi 6 sztuk perkalu; p. Ginsberg z Berlina płótna za rs. 25; p. Landau z Łodzi także płótna; p. Michalski, dyrektor fabryki „Wulkan“ znaczny zapas kuchennych i stołowych naczyń metalowych; p. Feist pewną ilość szczotek i szczoteczek; właścicielka farbiarni pod firmą „Judlin“ p. Geber, niewykupione przez właścicieli materiały; p. Henryk Kucharzewski 80 butelek wody krynickiej.

Wartość tych darów w naturze obliczono na cenę 700 rs.; razem więc publiczność nasza złożyła w roku ubiegłym na kolonie letnie sumę około 4,200 rs.

Życie odzieży dla dzieci biedniejszych, z materiałów otrzymanych, przyszło niemal bez kosztu, bo podjęły to poczciwie panie warszawskie, którym Dr. Fritsche dziękuje w sprawozdaniu, wymieniając przytem szczególnie doktorową Natalią Natansonową. Można też twierdzić już obecnie, że kolonie letnie weszły w dobroczynne nasze zwyczaje, co jest faktem bardzo szczęśliwym, bo ich oddziaływanie moralne w zakresie edukacyjnym nie ogranicza się jedynie do dzieci biednych, które z nich korzystają. Między ofiarami zaczynają znajdować się również dzieci, co ma wielkie znaczenie pedagogiczne, bo jest to rozbudzaniem się w istocie dziecinnej poczucia do obowiązków społecznych i obywatelskich, obowiązków dla ludzkości i ogółu swojego.

Sprawozdanie wykazuje, że Bodzio Korsak z Anińska nadesłał na rzecz kolonii letnich raz rs. 60, drugi raz rs. 25, razem rs. 85, więc był zapełniony pocziwym organizatorem dobroczynności

dziecinnej w swoich stronach. Następnie czytamy, że uczennice pensji p. Jadwigi Sikorskiej złożyły rs. 80, Niniusz Sokołowski rs. 10. Z redakcyi *Wieczorów rodzinnych* nadesłano raz rs. 60, drugi raz rs. 34, zatem mali czytelnicy tego pisma złożyli razem 94 rs. Z redakcyi *Przyjaciela dzieci* przysłano rs. 1. Natałka i Józio Sztumer ofiarowali rs. 5, Felutka i Julcio z oszczędności swoich złożyli rs. 1, ze skarbanki ś. p. Janka rs. 1, razem małoletni ofiarodawcy złożyli w roku zeszłym na kolonie letnie rs. 276, co jest rzeczą godną uwagi, bo dobry to posiew pedagogiczny, obiecujący najlepsze owoce, o czem matki pamiętać powinny.

Organizowanie małoletnich kółek dobroczynnych w rodzinach, w gronach znajomych i sąsiadów, ma inną jeszcze ważność, niż doraźne danie jałmużny biednemu. Czyn ten miłosierny jest skutkiem serdecznego wzruszenia nad nędzą, nad cierpieniem bliźniego i powinno to, powinno koniecznie, nieodzownie, praktykować się w wychowaniu, bo taka osobiście spełniana dobroczynność rozbudza i kształci uczuciowość dziecka, czyni je litościwym i serdecznie kłiwym na niedolę ludzką, uczy ofiarności, więc zwalcza samolubstwo. Ale jedno nie wyłącza drugiego: przyłożenie się dziecka datkiem swoim, choćby najmniejszym, do składki na rzecz jakiejś sprawy dobroczynnej, jakiejś dobroczynnej instytucji, wywiera w skutkach swoich edukacyjnych wpływ nie mniejszy i niemniej ważny od poprzedniego. Wprowadza to w młody umysł poczucie łączności jednostek z ogółem, poczucie wspólności obowiązków na rzecz tego ogółu i tą drogą idea zbiorowych powinności człowieka objawia się dziecku — w myślach i w uczuciach jego miejsce sobie czyni. Za pośrednictwem kolonii letnich działa się to może w sposób bardzo dobry i naturalny. Datek dla nieznanego, niewidzianego nigdy dziecka biednego, poczucie się do ofiary na jego korzyść, rozbudza w dziecku zamożnym myśl węzłów społecznych i sprawia, że uczuwa się ono jednostką wśród gromady: wytwarza sobie ideał powszechności swojej jako wielkiego ula, w którym cały rój pszczoł pracuje razem dla celów wspólnych, napełnienia go miodem.

Letnich kolonii chłopców było trzy. W Czajkach, własności p. Kleniewskiego, w pobliżu Nasielska, przebywało w dwóch partyach 95 chłopców. Wszystkie wydatki tej kolonii wynosiły 1,388 rs.; doliczając tu dozorców, gospodynie i kucharki, wypada, że wyżywienie jednej osoby kosztowało około rs. 14. W Żelechowie u p. Jana Ordegi przebywało chłopców 24, koszta wynosiły rs. 488, czyli około 20 rs. na osobę i to była kolonia, kosztująca najdrożej. W Jadowie u hr. Zdzisława Zamojskiego przebywało chłopców 26, wydano rs. 265, zatem na jedną osobę około rs. 10. Różnica kosztów zależy od okoliczności miejscowych, ułatwiających więcej lub mniej utrzymanie dzieci. Dr. Fritsche dziękuje przebywającej w Jadowie p. Watson, za jej troskliwą nad dziećmi opiekę i łaskawy zarząd sprawami kolonii, który stanowi jedną z głównych przyczyn, że koszta były tak małe. Corocznie tak tu jest i corocznie poczciwe starania tej pani oszczędzają koloniom letnim tego, dobroczynnie złożonego grosza, którego niema zawiele, bo jest mnóstwo ogromne tych, którzyby z niego korzystać próbowali.

Kolonii dziewcząt było cztery. W Janowie, w okolicach Mińska, u p. Waleryi Trzetrzevińskiej przebywało w dwóch partyach dziewcząt 51; wydano na ich tam pobyt rs. 408, co czyni na głowę nieco więcej niżeli rs. 7. Janów, podobnie jak Jadów, przyjmuje dzieci od samego początku powstania kolonii letnich, czyli przez lat 6. Wygodny dom, który na ten użytek oddała szanowna właścicielka Janowa, jest jakoby własnością instytucji, dopóki trwać ona będzie w takich jak obecnie warunkach i pod tym samym, lub z ramienia Dra Fritschego występującym zarządem. Różne ułatwienia i opieka ze strony dworu przyczynia się do tanioci pobytu tam dzieci.

Druga kolonia dziewcząt, w takiej samej liczbie 51 dzieci, mieściła się w dwóch partyach: w Kozłowie pod Pułtuskim, u p. Mi szkowskiej, która ofiarnie zbudowała i na tychże warun-

kach co wyżej, koloniom letnim nazawsze oddała piękny dom pod lasem. Na wyżywienie tej kolonii wydano rs. 400 i życie jednej osoby kosztowało około rs. 7, dzięki też pomocom ze dwora.

W Grodzisku, w najętym letniem mieszkaniu, mieściło się przez cztery tygodnie 22 dziewcząt, Wydatek był rs. 266, co czyni nieco więcej niż 11 rs. na osobę; że przecież mieszkanie zabiera z tego po półtrzecia rubla, że miejscowość jest stosunkowo dość drogą, wypada to bardzo tanio, za co Dr. Fritsche dziękuje pani Dickstein, która, bawiąc przez lato w Grodzisku, wzięła na siebie nadzór nad kolonią, i jej to opieki, oraz czynnych usiłowań jest skutkiem, że tak oszczędnie i wygodnie kolonia przebywać tam mogła.

W Szadkowicach, w okolicach Łodzi przebywało dziewcząt 7, wziętych całkowicie na swój koszt i prawdziwie macierzyńską opieką przez szlachetną właścicielkę Szadkowic, p. Domaniewską, która już rok drugi dopełnia tego chrześcijańskiego czynu miłości ubogiego dziecka. Tu koszta były około 25 rs., bo wydatkowano jedynie na podróż.

Podobnie jak u zacnej pani z Szadkowic, bawiło w okolicach Rypina przez cztery tygodnie 12 chłopców, wziętych łaskawie na opiekę przez obywatela stron tamtych, p. Chełmickiego, który po nich sam do Włocławka przybył, więc jeszcze dość daleką drogę z nimi odbył, przenocował u siebie wszystkich, a następnie u dalszych i bliższych swych sąsiadów, po jednym, po dwóch pomieszczał, gdzie ich jednak co tydzień odwiedzał i co tydzień też Drowi Fritschemu wiadomości o nich przysyłał. Byli to już chłopcy starsi i odpowiednio rozsądni, umiejący cenić gościnność im świadczoną i za którą usiłowali się wywdzięczyć pracą. Wykonywali też rozmaite polecenia, biegali po polu i lesie, jeździli konno, nadzorowali robotników, wydawali kwity, ogólnie starali się być użytecznymi i darmo nie jeść chleba. Wszyscy, wyprawieni z powrotem przez ich szlachetnego opiekuna, przybyli do Warszawy zdrowi i szczęśliwi, z rozświeconą myślą, z rozszerzonym kręgiem wyobrażeń, co jest zawsze skutkiem spotkania się z nowymi życia stosunkami, z życia tego prądem nowym. Niektórzy wrócili oporzędzeni, niektórzy otrzymali jako podarek przyjazny i wynagrodzenie za pracę, pieniądze na wpis szkolny.

Ten sposób przyjmowania na wakacje miejskiej dziatwa szkolnej lub zostającej w terminach rzemieślniczych, praktykuje się od lat wielu w Szwecji i Norwegii, w Danii, oraz w okolicach Poznańskich i jest może najpraktyczniejszą formą kolonii letnich. Dr. Fritsche żywi też nadzieję, że z czasem przyjmie się on i u nas z najlepszym skutkiem, i to pod wielorakimi względami.

Rozwijałyby się siły młodego pokolenia miejskiego, rozjaśniałyby się umysły pod względem krajoznawstwa i p. Chełmicki ma nadzieję, że dobry początek nie pozostanie daremnym. Wielu z jego sąsiadów żałowało, że młodych gości warszawskich nie mieli u siebie, więc może zapragną ich na nadchodzące lato. Za przykład tej nowej organizacji kolonii letnich dla dzieci starszych, służyćby mogły także kolonie poznańskie, o których wiadomość szczegółową czytelnicy naszego pisma mieli sobie podaną zeszłego lata, w miesiącu Sierpniu. W tamtych stronach dziatwa miejska jest przecież przyjmowaną nietylko po dworach; otwierają się tam licznie dla chłopców drzwi plebanii, przyjmują do siebie młodych letników kmiecie i mieszczanie tych miasteczek rolniczych, które w rzeczywistości są tylko nieco inaczej urządzonymi osadami wiejskimi. Ale tu rzecz warunkuje stopień cywilizacji sfer ludowych.

W krajach Skandynawskich dzieci nawet klasztorów zostają wysyłane na wilegiaturę pomiędzy lud wiejski; stosunki te zaznaczają się nawet w literaturze i nastrojąca tła dla obrazów powieściopisarskich.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 30 Kwietnia 1888 r.

Jeszcze zimowa groza. — Śmierć pani Julii Pusłowskiej. — Ba lanzerka i jej zabawy. — Dobroczynność i śpiewy. — Kongres naukowy katolicki. — Wystawa malarzy niepodległych. — Wystawa pastelistów. — Wystawa karykaturzystów i książka Grand-Cartereta: „Les Moeurs et la Caricature en France“. — Wystawa w klubie przy ulicy Volneya. — Kwestya socyalna w malarstwie. — Towarzystwo mazyczne ze Smoleńska. — Wystawa p. Van Beersa. — Drugi tom „Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle“ przez pannę Herpin. — Robert Lytton Bulwer, poeta i ambasador angielski w Paryżu. — Jego naśladowanie „Nieboskiej Komedyi.“

(Dokończenie)

Dla tych, którzy nie oglądali tej wystawy i nie mogli jej studyować z całą pilnością miłośników i znawców; daleko jest przystępniejszą książka p. Grand-Cartereta'a: „Les mœurs et la Caricature en France.“ Daje ona kompletną historję karykatury we Francyi, zaczawszy od wieku XVI aż do naszych czasów. Doskonały tekst i układ tej książki wzbogacają jeszcze reprodukcje rysunków najlepszych mistrzów w tym rodzaju. Jednym słowem: piękna i kapitalna książka. Jest to jakby latarka czarnoksiężka głupoty ludzkiej, oglądanej przez tych, co ją oplakują, a pokazywaną przez tych, co się z niej śmieją.

Obok tych expozycji, niejako publicznych—dwie, czysto prywatne, ściągnęły naszą uwagę w klubie przy ulicy Volneya, idąc za prądem, dano miejsce wystawie obrazów i obrazków p. Wereszczagina. Artysta ten, od lat już kilku osiadły w *Maison-Laffitte* pod Paryżem, — nagromadził wielką liczbę obrazów i szkiców (na tej wystawie jest ich siedemdziesiąt kilka) w czasie swoich podróży po Wschodzie i we własnym kraju. Obrazy te są rozmaitej wartości artystycznej, — a w ogólności są one wykonane w sposób mało sympatyczny dla tutejszej publiczności, która zagadek i szarad filozoficzno-humanitarnych nie znosi w obrazach.

Zdaje mi się, jeśli się nie mylę, że wystawę tych obrazów widzieliście już kiedyś w Warszawie. Nie będę więc tu się rozwodził z mojem zdaniem, a do wyliczenia wszystkiego, co mierne, a co warte widzenia—miejsca mi braknie. A więc konkluduję: ten sposób filozofowania z pędzlem w rękę, jeżeli może zaspokoić malarza—pozostawia publiczność zimną i obojętną; chyba, że tym artystą będzie taki Rafael ze swoim uczuciem piękna i linii—lub Rubens ze swym przepychem kolorytu.

Ogromne obrazy p. Wereszczagina przedstawiające karę śmierci—zapewne w celu jej obalenia—w Palestynie: Ukrzyżowanie Chrystusa Pana; w Indyach: roztrzelanie za pomocą przywiązania skazanego na śmierć, do otworu armaty. Są to wszystko *pia desideria*, bo na ich urzeczywistnienie potrzeba większych zdolności, czy potęgi ducha, — niż te, jakie posiada p. Wereszczagin. Nie mówiąc już nic o technice tego malarza, która jest tak daleko od wzorów prawdziwej doskonałości—o mniejszych obrazach niema co i mówić; słowem: próba nie miała powodzenia żadnego.

Muszę jeszcze powiedzieć słów kilka o wystawie obrazów Jana Van Beersa. Jest to Belgijczyk z Flandryi innego zupełnie stylu artysty, niż p. Wereszczagin. Rysunek, koloryt, uczucie smaku i prawdy—wszystko to się w nim znajduje. Jest może trochę i pozy—jak mówią Francuzi—i szarlataneryi, bo to piętno czasu; ale przedewszystkiem jest artyzm i to bardzo znakomity. A nadewszystko, jest to prawdziwy Rafael piękna kobiecego. To jego widoczna wybitna specjalność.

Do urzędzenia w Paryżu wystawy dzieł swoich na własną rękę skłonił go przegrany proces, dość dziwny, we własnej ojczyźnie. Od niego to założył artysta apellacyą do paryżkiej publiczności, — i powiedzieć można śmiało: wygrał

sprawę. Zwyczajem wielkich artystów swojego kraju, malarze wielkiej wziętości używali często do rozpowszechnienia dzieł swoich i uczynienia zadość żądaniom publiczności—uczniów swoich, którzy kopiowali ich lepsze obrazy, a te, poprawiane ręką samego mistrza, sprzedawały się za własne jego dzieła. Mamy na to przykładów bez liku, a w papierach Rubensa znaleziono nawet rachunek i taryfy, potwierdzające tego rodzaju operacye.

Van Beers, wobec nawału zamówień, które mu sprowadziły jego niezrównane twarze i postacie kobiece, — użył tegosamego środka. Ale dzisiejsi nabywcy, zawiadomieni przez kopistów mistrza, że obrazy zakupione, nie były jego tylko dziełem, wytoczyli mu proces, który się skończył nietylko przegraną dla malarza, ale chciano jeszcze mu zarzucać, że nie umie nawet tak malować, jak ci, których do tej roboty używał. Ztąd apellacya do Paryża, z kąd Van Beers wychodzi pełnym zwyciężcą i znakomitym malarzem.

Chciałbym, aby to wiedział p. Zmurko, o którym nam zgrabnie opowiedział mój kolega *Quis*. Dopiero-by on poznał, — on, p. Zmurko — że nie dosyć jest namalować mniej więcej zręcznie postać młodej kobiety i z akcesoryów wyprowadzić główny przedmiot. Nie, na tej wystawie Van Beersa obok kobiet półświatka są i ogromne obrazy, malowane potężnie, rysowane porawnie. Jest tam, naprzykład, jakiś zuch, który z mieczem w jednej, a sztandarem w drugiej ręce, wdiera się na jakieś okopy i wrzeszczy: zwycięstwo! — a wrzeszczy tak, że go słycać prawie, chociaż jest tylko malowanym. Postacie kobiece mają nieraz prawie mikroskopijne rozmiary. Nie mówię już o doskonałości nieposzlakowanej ich rysunku, o czarującej harmonii i blasku kolorytu: ale każda z nich jest żywcem pochwycona z natury.

Mizdrzenie się, uśmiech, strój, poza, uczesanie lub rozczochranie włosów, spłot warkoczy, — wszystko to dysze prawdą. Może to być wstrętne komuś, jako przedmiot, ale nigdy jako wykonanie, bo to przechodzi wszelkie pojęcie, nawet tych, którzy oddawna już trzymają paletę. Chciałbym więc, żeby to zobaczył p. Zmurko; bo może-by porzucił „Demony“, które, u nas szczególnie, muszą mniej demonicznie, a więcej ułicznie wyglądać, a starał się znaleźć około siebie coś takiego, w czemby go i sam Van Beers nie prześcignął.

Rok temu właśnie na tem miejscu zdałem wam sprawę z książki pod tytułem: *Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle*. Czytelnicy pamiętają zapewne, że tą wielką panią, była księżniczka Helena Massalska, zaślubiona *primo voto* ks. de Ligne. Autorem tej książki była panna Herpin, chociaż na tytule było nazwisko Perey'a (pseudonym tej pani). Zakończyłem artykuł swój o pierwszym tomie temi słowy: „Zapowiedzianego drugiego tomu, czekamy z ciekawością.“ Otóż wyszedł ten tom II i ostatni—Bohaterka weszła w nowe śluby po śmierci ks. de Ligne i figuruje na tytule jako Helena Potocka—żona Wincentego, Wielkiego Podkomorzego Koronnego.

Ten tom II zajęciem, jakie wzbudza, ważnością dokumentów, jakie podaje, znacznie przewyższa tom I-y; ale niestety! tezsame braki, tezsame zboczenia, na któreśmy się żalili przy początku, znamionują i ciąg dalszy. Nie mówię już o usterkach co do nazwisk, miejsc i osób naszego kraju: to tak zwykle Francuzom, że niema co już o tem i mówić. Ale autorka, mając w rękę oryginały listów p. Podkomorzego i pani Podkomorzynny, listy, w których traktują się rzeczy dotyczące się interesów, administracyi majątku i t. d., wskazuje tylko pobieżnie w dwóch słowach treść ich i poprzestaje na gołosłownem zaręczeniu: „że to nie ma wielkiego interesu dla publiczności“ (!) dla jakiej?... dla francuzkiej? bardzo wierzę — ale dla nas?

Dalej, zapełniają książkę fakta dotyczące się ks. de Ligne ojca, które dla sprawy Potockich są zupełnie obce, obciążają text bez potrzeby, i są tu włożone widocznie, aby zadość uczynić obojętkowi wdzięczności za pomoc, jaką autorka znalazła u rodziny książęcej.

Jakkolwiek bądź, jest to bardzo ważny przy-

czynek do historyi naszych wielkich rodzin pańskich z ostatnich czasów naszego bytu politycznego. O, gdyby można dotrzeć do tych oryginałów, które autorka miała w rękę!

Pobyt W. Podkomorzego w Grodnie z żoną w r. 1794, wyjazd p. Wincentego do Petersburga, jego długi pobyt w tem mieście, — korespondencya, przygody i stosunki z ludźmi następnie obraz życia państwa Wincentowstwa w Brodach: jest to prawdziwe — jak nazywają Francuzi — *le comble!* Zresztą koniec tej płomiennej miłości, która tonie i rozplýwa się w żydowskiej stolicy, w Brodach, wśród błota i korszachtów pana Wincentego z panną Karwowską. Rozejście się, nowa zgoda, wyjazd do Paryża, pierwsze chwile Restauracyi Burbońskiej we Francyi — słowem: nie mógłbym zliczyć tego, co tu jest ważnem; ale trzeba by mieć w rękę oryginały, z których p. Herpin skleiła swą całość, a dopiero wtedy możnaby stworzyć coś, co dla nas miałoby niemałą wartość.

Ostatnim autorem tej tragi-komedyi był syn W. Podkomorzego urodzony z Mostowskiej, Franciszek Potocki, ożeniony z ks. Sydonią de Ligne. Zdaje mi się, że wy możecie dać o nim bliższe szczegóły; myślę bowiem, że wielu jeszcze z ludzi żyjących dziś w Warszawie, musiało go znać — i wiedzieć szczegóły o jego powtórnych ślubach z jakąś panną ze Szlązka, czy z Saxonii, która po jego śmierci wyszła powtórnie za mąż, bywała często w Paryżu i zmarła podobno parę lat temu zaledwie ¹⁾. Jak widzicie książka ciekawa.

Nie dlatego, aby się wciskać na pole dyplomacyi, ale z powodów czysto literackich, przychodzi mi powiedzieć słów kilka o nowym ambasadorze angielskim w Paryżu, o p. Lytton-Bulwerze. Nie moją jest rzeczą wydawanie sądu o dyplomatycznych zdolnościach ambasadora; ale to pewna, że muszą być one niemałe, kiedy mu tak ważne powierzano dotąd, i powierzono dziś jeszcze, stanowisko polityczne. Zostawmy więc to na stronie, a weźmy go pod rozbiór jako literata i poetę.

Robert-Edward Lytton-Bulwer, urodzony w r. 1831 r., należy do rodziny arystokratycznej, w której literackie tradycje były jakby domową spuścizną. Są oni potomkami generała Bulwera, a prawo do noszenia nazwiska Lyttonów pozyskał ojciec dzisiejszego ambasadora w r. 1844, pragnąc utrwalić w rodzie pamięć swej matki z domu Miss Lytton. Była ona ostatnią odroślą historycznego rodu Lyttonów z Knebworth — kobieta wielkiego umysłu i serca. Jej-to staraniom i wpływom przypisać należy to umysłowe wysokie wykształcenie, jakim się odznaczyli jej synowie, to jest ojciec i stryj dzisiejszego baroneta.

Ojciec, Edward-Jerzy, członek parlamentu, jest to ów sławny Bulwer, powieściopisarz i poeta, którego dzieła tłómaczone są na wszystkie języki. Pamiętam dobrze, jak ostatnie dwie powieści w przekładzie polskim zachwycały mnie i moich rówieśników przed r. 1840. Autor został w Anglii jakby spadkobiercą popularności Walter-Scota. Nie mogę tu wyliczać wszystkich dzieł Bulwera ojca; przechodzę do stryja, Henryka, również publiczysty i literata. Był to biegły dyplomata i znany jest ze swej otwartej wasni z Narvaezem. Najlepsze jego dzieło jest to książka: „Lordowie, rząd i kraj.“ (*The lords, the government and the Country*). Nakoniec matka Roberta, mis Rosine Wheeler, Irlandka rodem, napisała kilka pięknych powieści; *Bianca Copello* może być uważaną za jej najlepsze dzieło.

Robert Lytton-Bulwer miał więc w rodzinie swojej przykłady i wzory, które mu ułatwiły niezmiernie podróż w owe zaczarowane kraje, o których powiada Goethe, że bez ich znajomości, trudno zrozumieć poetów. Pierwsze nauki pobierał w Anglii w Harrow, i w Mertońskim kolegium w Oxfordzie, a ukończył w niemieckim uniwersytecie w Bonn. Ztąd może pochodzi to, że w jego poezjach — (bo ambasador jest czysto

1) Mowa tu o małżonce p. Janusza Roztworowskiego. Pierwszym jej mężem, Potockim, był prezesem Heroldyi Król. Pol. (P. Redak.)

i jedynie poetą) — widać rwanie się do filozoficzno-humanitarnych zagadnień, do świata idealnego.

Mając zaledwie lat 19, wszedł do dyplomacji, zaczął pracować przy poselstwie stryja swojego Henryka, podówczas w Washingtonie. Przeszedł następnie, a zawsze z wielkim odznaczeniem, wszelkie stopnie obranego zawodu i jest dziś, jak widzimy, ambasadorem w Paryżu. Urząd ten uważają Anglicy za *summum* dyplomatycznego zawodu w ojczystym swem państwie. Ale zostawiam na stronie cały ten szereg zasług, albowiem, jeśli mówię o nim to dlatego, że jest poetą, i dlatego, że jako poeta obchodzi nas blisko zpowodu, który natychmiast wyluszcze.

Wychowanie uniwersyteckie, gruntowne, a z rodzaju swego klasyczne, odbiło się zaraz, na pierwszej książce wydanej przez poetę. Miał on wówczas lat 24 i podpisał je pseudonimem „Owena Mereditha“, który zachował do dziś. W tej pierwszej próbie młodego poety, znajdują się dwa większe poemata: „Klitemnestra“ i „Powrót Hrabiego“. Klitemnestra — jest to dobrze znany przedmiot klasycznych tragedii, ale Meredith przejął go ogniem tak żywej wyobraźni, że ta w każdym prawie wierszu, jak mówił jeden z jego krytyków, zostawiła swe ślady. „Powrót Hrabiego“, jest to rodzaj ballady, osnutej na opowiadaniu, które w głównych zarysach przypomina, jakby Mickiewiczowskiego Konrada. Po tem nastąpił *The Wanderer* (Wędrowiec), coś jakby dalekie wspomnienie Childe Harolda. Wędrowiec z miłości przechodzi ziemie i kraje i śpiewa, co czuł i co widział. Jest to zbiór oderwanych pieśni, w których wyobraźnia największą odgrywa rolę.

Trzecim z porządku utworem jest: *Lucile*, powieść poetyczna. Poemat dosyć zawikłany, jako treść, ale jaśniejszy jeszcze pełniejszym blaskiem formy, rytmu i języka, niżeli poprzednie dzieła poety.

Na tem się zamyka jakby pierwszy cykl życia i twórczości poety. Następnie daje on tłumaczenie, a raczej przeróbkę na własną rękę: „Pieśni Serbskich“. Są to może najslabsze z jego poezji, te próby ludowej pieśni, tak prostej, naiwnej, a tak trudnej do przelania na obce narzecza. Dalej nastąpiły: „Kroniki i Charaktery“; „Śpiewane bajki“, „Orval, albo szalony naszych czasów“; „Pierścień Annadisa“ i nakoniec, wydany w 1885 r. *Glenarveril*. Ukazanie się tego poematu było prawie sensacyjnym zjawiskiem w angielskim świecie literackim.

Jeżeli „Wędrowiec“ przypominał dalekie rysy *Childe Harolda* — to *Glenarveril* bliżej jeszcze zaznaczył pokrewieństwo z *Don Juanem*, pokrewieństwo, którego nie należy szukać w rysach i szczegółach poematu, ale w ogólnej dążności ducha poety. Jak we wszystkich utworach Owena Mereditha, tak i w *Glenarverilu*, myśl przewodnia wciela się w temat filozoficzno-społecznej. Prawo sukcesyjne (*hereditas*) w walce z zasadami nowej społeczności, a rozwiązaniem: że prawdziwa miłość zwycięża wszelkie przeszkody i zapory. Nie wchodzę w rozbiór tego poematu — bo muszę być bardzo wstrzeźliwym co do szczegółów: miejsca i czasu mi braknie. Wracam do tego, co było głównym przedmiotem mojej wycieczki, na pole bieżącej literatury angielskiej.

Chodzi tu o poemat, o którym wspomniałem wyżej, o poemat pod tytułem: *Orval*. W przedmowie do tego poematu autor powiada: „że był oddawna zajęty przedsięwzięciem, o którym myślał już przed nim Schiller: wziąć za przedmiot poematu Wielką Rewolucyą 1789 r. „Przedmiot który miałem na myśli, mówi dalej, mógłby się

stać niejako przeciwieństwem i odwrotną stroną tematu, który rozwinąłem w moich „Kronikach i Charakterach.“ Tu zwróciłbym moje usiłowanie w tym celu, aby nie nadawać bynajmniej cechy ściśle określonej rzeczywistości (*concrete*) wypadkom historycznym, tak blizkim naszym czasom, a pozostawiłbym je w dziedzinie zasad abstrakcyjnych (*abstract*), jakie przedstawiają te wypadki. I wprowadziłbym te zasady w ruch, w działanie, zapomocą zmyślonych osobistości, unikając pilnie wszelkiego podobieństwa z osobami, które istniały w istocie.“

Plan taki już był osnuty i nakreślony, kiedy autorowi wpadła w rękę *Nieboska komedia*, Krasieńskiego, w przekładzie angielskim. Poeta angielski zrozumiał polskiego wieszczę; zrozumiał, że własna myśl jego znalazła już swego twórcę: ani myślał walczyć o lepsze, odłożył swój plan na bok i poprzestał, jak sam powiada, na parafrazie (*periphrase*) *Nieboskiej komedii*. W rzeczy samej: nie jest to bynajmniej tłumaczenie naszego mistrza; Orval jest to kopia wykonana z pamięci przez znakomitego artystę. Lecz jeżeli potęgą wyobraźni, blaskiem stylu i biegłością łamania trudności językowych, są oni sobie pokrewni — twórczość zostaje przy Krasieńskim.

Żałuję, że mi nie wolno, dla braku miejsca, zestawić przed wami ściślejszego porównania *Orvala* i *Nieboskiej komedii*. Długo, długo mnie pociągało ku sobie to studium; ale jakkolwiek bądź, dramat, a raczej poemat Lyttona Bulwera, kończy się wizją, którą angielski poeta przedniósł bardzo szczęśliwie z 1-ej części *Nieboskiej* na koniec. Z ustępu, gdzie obłąkana żona hrabiego opowiada mu: „Coby było, gdyby Bóg oszalał?“ angielski poeta wyjął przerażający obraz krzyża spadającego wśród przestworu niebios i pokazuje wizją Chrystusa na krzyżu; Pankracy, u Mereditha *Panurge* powiada:

„Przybity trzema gwoźdźmi... Są to trzy gwiazdy! — Ramiona jego rozciągnięte nad światem.

Myśmy nie zdolni, aby je usunąć!“

I umiera wołając: *Galilae, vicisti!*

W poemacie Mereditha *Orval* jest to hr. Henryk, *Panurge* to Pankracy, *Mariel* — Orcio i t. d.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— Na Wystawie Wiedeńskiej niewiele jest obrazów naszych, Matejko wystawił w oddziale austriackim dwa obrazy, nie robiące efektu i nie posiadające tych cech jego geniuszu, które znamionują mistrza. Jeden: „Pieśń“, alegorya piękna, jako myśl, przedstawia geniusz, zrywający się do lotu. Drugim jest: „Dziewczyna z papugą“ Nie jego to przedmioty, nie pole dla jego natężenia i podobno nie zbudzają też żadnej uwagi. Z wystawców naszych jest: Ajdukiewicz, Benedyktowicz, Gerson, Kochanowski, Malczewski, Mańkowski, Kossakowie: Juliusz i Wojciech, Popiel, Rybkowski, Wójtowicz. Dzieła ich znajdują się w dwóch oddziałach: austriackim i „International.“ Śliczny jest obrazek Rybkowskiego: „Targ w Galicyi“, jest to pedant do Juliusza Kossaka: „Targ w Krakowie.“ Oba te obrazy są w oddziale austriackim. Wojciecha Kossaka w oddziale „International“ „Chłopicki“ i „Jak landwera atako-

wał będzie“, zyskały taką opinią Ranzoniego, że jeżeli młody artysta dojdzie w kolorycie do tego stopnia doskonałości, który posiada już w charakterystyce, stanie w rzędzie pierwszych malarzy bitew. Jest w tym samym oddziale obraz Gersona „Noli me tangere“ bardzo chwalony, Mańkowski też w tym oddziale: „Piotr wskrzeszający umarłą“ odznacza się między innymi i czuć w nim ucznia Matejki, „Etap“ Malczewskiego również w tym oddziale zyskuje głośne uznanie, choć pojedynczo oderwany od cyklu, który całość tworzy, nie może wywierać całego wrażenia, jakiego mógł robić. Unierzyckiego „Zdjęcie z krzyża“, także tam, zaćmiło w sądzie miejscowej krytyki dwa inne obrazy w tym przedmiocie. Przecież obraz to jest mało sympatyczny przez swój realizm. Magdalena skurczona, jest brzydka. W oddziale węgierskim wystawił Horowitz dwa portrety.

— W archiwach Peszteńskich znajduje się wiele rękopismów polskich, a między niemi listy Zamojskiego. Do najważniejszych zaliczyć trzeba tom: „Cancellaria Polonica.“ Jest to część pewna: *Acta Tomicianae*, przepisana ręką znaną z oryginalnych Tomicyanów. Zawiera akta i listy z 1539 do 1547 r. Na ostatnich kartka dopisana: „Wotum na sejmiku powiatowym w Opatowie, Prokopa Pękasłowskiego“ i „Zjazd imci panów ewangelików pro die 23 septembris, zebrany w Radomiu (r. 1582).“

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

Nakładem M. Orgelbranda w Warszawie

Wyszła z druku książka pod tytułem:

MASSA Ż.

Sposoby wykonywania, zastosowania i skuteczności w leczeniu chorób

Zewnętrznych i wewnętrznych

według najnowszych źródeł naukowych

opracował

Dr. JÓZEF STARKMAN

Książka zawiera w sobie 25 rysunków służących do objaśnienia tekstu

Cena egzemplarza 80 kopiejek, z przesyłką pocztą 90 kopiejek

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

TREŚĆ: Głosy wiosenne, poezya, przez Maryą Ilnicką. — Pogawędka. — Na starym gruncie, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Febroniusza. — **Korrespondencya zagraniczna**, Kraków. — Kolonie letnie, przez Maryą Ilnicką. — **Nowiny paryzkie**, (dokończenie).

Dodatek obejmuje: Arkusz 4-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — **Przegląd mód**. — 20 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycya stołu**.